

Wiesław Hop

Męskie pożegnanie

Był początek listopada, chłodno, deszczowo i ponuro... Ale jeszcze kilka dni wcześniej pięknie i wesoło świeciło słońce. A w noc po Wszystkich Świętych, nasze, o wiele za szybko rozrastające się, birczańskie cmentarze, oświetlone tysiącami kolorowych lampionów, przypominały, widziane w bezchmurną noc z lotu ptaka, uśpione bieszczadzkie miasteczka.

– Hej, gdzie się podziali ci wszyscy spoczywający tutaj ludzie? Gdzie są teraz ich nieśmiertelne dusze? Czy dotarły już do nieba i weselą się, spacerując po kwiecistych alejkach rajskich ogrodów? Czy może jeszcze błądzą gdzieś w swej niedoskonałości w przestrzeni, zawieszone w próżni, w czystcu pomiędzy niebem a ziemią? Czy może, gdzieś na przedśmionkach piekielnej krainy Lucyfera i Belzebuba toczą beczki ze smołą?

Więc, kto to wie, jak naprawdę jest na tamtym świecie. Nikt w końcu nie powrócił i nie wyłożył nam wszystkiego czarno na białym, tak abyśmy nie mieli już żadnych wątpliwości. Dlatego nie mamy pewności, ale wierzymy; wierzymy, że jest w niebie sprawiedliwy Bóg, Bóg Stwórca, Pierwsza Przyczyna i Ostateczny Cel życia każdego z nas. Przecież ktoś musi kierować tym światem – dumamy – czuwać nad nami, bo inaczej byśmy się przecież sami tutaj pozzerali.

Staramy się – o ile nie przeszkadza nam to w polityce, w karierze zawodowej, w robieniu pieniędzy, w miłości – przetrześć dziesięć przykazań i przede wszystkim wierzymy w nieskończone miłosierdzie boże, bez którego nic nie jest możliwe.

Wierzymy, bo jak powiedział dawno temu pewien wielki Filozof, nic na tym nie tracimy, a zyskać możemy życie wieczne. Z drugiej strony, próbujemy zwyczajnie, po ludzku, podobnie jak się to zdarza w naszej demokracji lokalnej, gdzie często ręką rękę myje, wykorzystywać i oszukać naszego Boga. Może nie całkiem oszukać, ale chociaż troszeczkę wywieźć go w pole. Liczymy na to, że nawet tam, gdzie można obejść jakieś przepisy, coś wykombinować, załatwić, wykorzystać jakieś znajomości, a może nawet dać łapówkę...

Może, za pieniądze pozostawione rodzinie, wykupi się kilkadziesiąt mszy; ksiądz się pomodli i wyprosi dla nas grzesznych odpust zupełny; a może tylko chociaż troszeczkę uchyli nam furtkę do nieba, przez którą będziemy mogli się jakoś przecisnąć. Taka jest nasza ludzka mentalność.

W tamtych dniach, spacerując po cmentarnych alejkach, spotkałem kilku przyjaciół z Huty Brzuskiej i innych okolicznych wsi z czasów mojej młodości, którzy rozeszli się po świecie w poszukiwaniu lejszego chleba. Powróciłem pamięcią do mojego ojca, siostry Dorotki i dziadków. Dlaczego nadal, po tylu

latach, tak to boli? Dlaczego człowiek nie może pogodzić się z przemijaniem?

Przypomniałem sobie również wielu innych ludzi z mojej rodzinnej wsi, którzy odeszli, jak powiadają myśliwi, do Krainy Wiecznych Łowów. Rozrzewniłem się i zadumałem, i – jak widzicie – zacząłem filozofować. I może dlatego stanął mi przed oczami, jak żywy, stary Feliks Lasota z Dolnego Huciska.

Był to człowiek prosty, niewykształcony, ale obdarzony niezwykłą pamięcią i wielkim rozumem, który we wsi spełniał rolę dawnego mędrca, sędziego, czy doradcy. Chodziło się do niego po radę, podobnie jak dzisiaj jeździ się do Przemysła do adwokata czy radcy prawnego. Jedyna różnica polegała na tym, że nie trzeba było mu płacić. Wystarczyła rozmowa, uścisk ręki i czasami kieliszek, wypitej wspólnie, mocnej nalewki na miodzie. Feliks nigdy jednak nie miał i nie dawał gotowych odpowiedzi. Rozmawiał, doradzał i stawiał pytania. W ten sposób starał się, aby ludzie sami podejmowali decyzje i rozwiązywali problemy, z którymi do niego przychodzili.

Spotykałem go często, wracając ze szkoły, gdy siedział pogrążony w rozmyśleniach lub w dyskusji z jakimś gospodarzem na ławce przy studni, w pobliżu drogi. Albo, gdy późną jesienią, w babie lato, wypasał bydło na ścieniskach za wsią i wygrzewał się w promieniach miodowo-złotego słońca. Niekiedy częstował mnie złotymi renetami albo olbrzymimi gdulami, które spadały z gruszy rosnącej przy jego piwnicy. I nawet ze mną próbował rozmawiać o nurtujących go przez całe życie problemach. Zastanawiał się jaki jest cel i sens ludzkiego życia? Czym jest miłość i szczęście? Jak postępować, aby to szczęście osiągnąć? I dlaczego obdarzony rozumem człowiek, tak jak głupie bydło, lubi chodzić w szkodę?

– Ludzie myślą, że tam daleko za górami jest coś lepszego niż u nas. Ale ty pamiętaj, chłopcze – powiedział do mnie kilkorożego razu – abyś nigdy, pod kartofle, nie woził gnoju z daleka, bo i u nas jest go dosyć.

We wsi wszyscy doskonale znali to jego powiedzenie i wiedzieli, że wypowiadając je, usiłował nas nauczyć czegoś nie tylko o nawożeniu pola, ale i o kobietach i mężczyznach, o miłości, ożenku i o wielu innych dziedzinach ludzkiego życia.

Otóż człowiek ten miał przyjaciela i sąsiada o imieniu Jan, który nie ustępował mu rozumem, ale pomimo, że – podobnie jak Feliks – był człowiekiem głęboko wierzącym, uważał, że przyszłość jest jednak nie całkiem pewna, więc tutaj na ziemi, w doczesnym bytowaniu powinniśmy wszystkiego spróbować; użyć życia i zakosztować jak najwięcej przyjemności. A więc, chociaż sam o tym nie wiedział, był prawdziwym hedonistą.

Pewnego dnia, pod wieczór, Feliks siedział na ławce przy studni. Pomimo że przeżył już dziewięćdziesiąty pierwszy rok życia, czuł się dobrze, ale było mu bardzo ciężko na duszy, bowiem jego, o kilka lat młodszy przyjaciel, Jan, doznał już do kresu swoich dni. I leżąc na łóżku w swojej chałupie, zbierając się do odejścia w zaświaty, powoli żegnał się z rodziną, przyjaciółmi i znajomymi, którzy go przed śmiercią odwiedzali.

Więc Feliks również, jakżeby inaczej, wstał i, opierając się na lasce, poszedł dodać mu otuchy na tę ostatnią ziemską drogę, i pożegnać się z przyjacielem. A przy okazji, ponieważ nie mógł sobie tego odmówić, zamierzał mu jeszcze zadać ostatnie pytanie.

Na jego widok Jan uniósł się z pościeli. Był bardzo słaby, ale nie wyglądał jeszcze na umierającego. Uśmiechał się, a w jego błękitnych, chociaż już nieco przybladłych, oczach – jak zawsze – czaił się ukryty żart. I wydawało się, że do ostatniej chwili pozostał wierny swojej filozofii – korzystał z życia.

– Feliks – powiedział, przerywając męczącą ciszę.

– Tak, Jaśku.

– Mam do ciebie małą prośbę.

– Mów. Każda twoja prośba jest dzisiaj dla mnie rozkazem. – Feliks i z troską, powoli, jak przystało na starego człowieka, pochylił się nad przyjacielem.

– Może byś tak poszedł za chałupę i wysikał się za mną – poprosił Jan. – Bo ja już, rozumiesz, sam nie mogę tego zrobić.

– Dobrze Jaśku, zaraz idę – zgodził się Feliks. Domyślił się, że Jan, przy jego pomocy, próbuje rozbawić nieco towarzystwo i rozproszyc, wisząc w pokoju nad jego głową, ciężką, grobową atmosferę. Roześmiał się więc szczerze razem z pozostałymi gośćmi Jana, ale z trudem udało mu się powstrzymać cisnące się jednocześnie do oczu łzy. – Nie myśl jednak, że uda ci się wykpić tanim wicem. Bo ja zamierzam z tobą dzisiaj poważnie porozmawiać.

– Gadaj po ludzku, o co ci chodzi?

– Żyłeś tyle lat, a teraz przyszedł na ciebie koniec. Mówią, że człowiek przed śmiercią widzi wyraźnie całe swoje życie. Jeżeli tak jest, odpowiedz mi tylko na jedno, nie dające mi spokoju, pytanie.

– Pytaj – zgodził się Jan. – Byle szybko, bo jak widzisz, nie mam już zbyt dużo czasu.

– Dobrze. Już pytam: Powiedz mi, ale tak szczerze, czegoś sobie w tym swoim długim życiu, na tym świecie, w tej naszej Hucie Brzuskiej, najwięcej użył?

Problem został postawiony i Feliks oczekiwał uczciwej odpowiedzi. Toteż Jan nie mógł go zawieść. Przysnął oczy i przez jakiś czas myślał intensywnie. I rzeczywiście czuł się tak, jakby przez głowę przelatowało mu całe jego dobiegające kresu życie; jakby z nie-